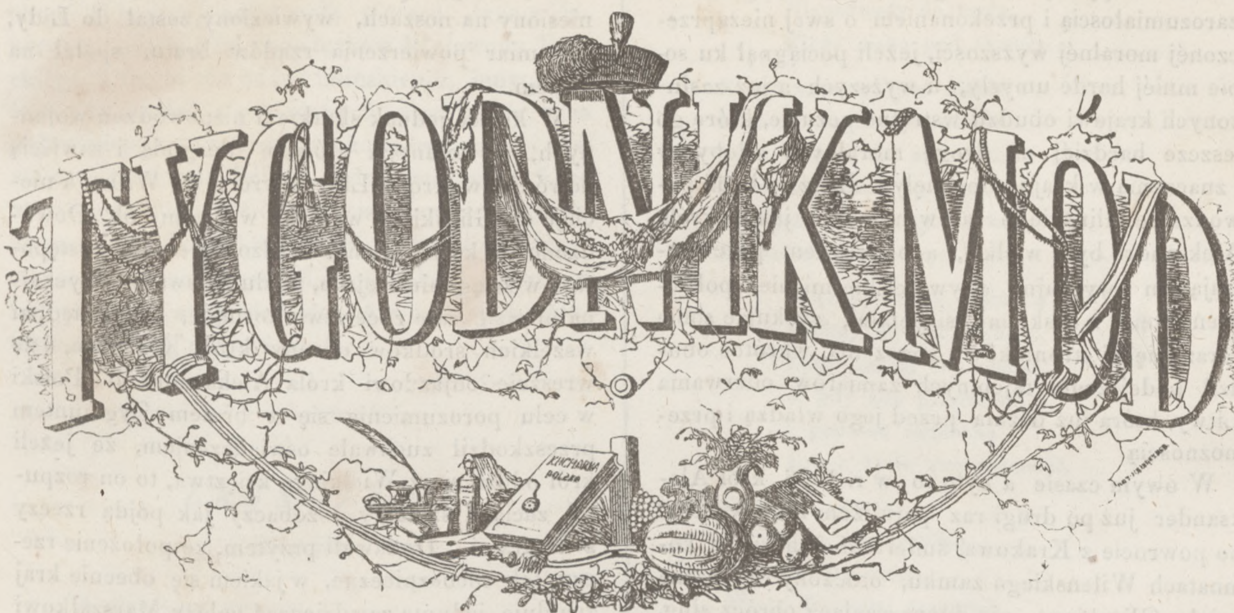
№ 14.

Warszawa, dnia 4 Kwietnia 1863 r. 23 Marca.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy** adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

MICHAŁ GLIŃSKI W WIĘZIENIU

WSPOMNIENIE HISTORYCZNE

z powodu obrazu p. Millera, znajdującego się na Wystawie Sztuk Pięknych w Warszawie.

Jakkolwiek prace naszych malarzy, od czasu do czasu pojawiające się na polu historycznem, są nader pocieszającym faktem, dowodzącym poważniejszego rozwoju sztuki, wyboru jednak przedmiotów bezwarunkowo pochwalić nie można, chociaż prawdą jest niezaprzeczoną, że artyście myśli narzucać się nie godzi.

W obrazie p. Millera sam Gliński jest nader pięknym utworem, widać w nim wodza przyzwyczajonego do rozkazywania i zarazem więźnia gnębionego długim cierpieniem niewoli, widać w nim pogromcę Tatarów pod Kleckiem, owego wodza zbratanego z szablą i z koniem, rojącego dumne plany wywyższenia, podnoszącego głowę nad wszystkich w Rzeczypospolitéj, i razem bezsilnego, ślepego starca, od którego uleciała nawet nadzieja lepszéj doli, a została tylko zgryzota sumienia nigdy nie mająca mieć końca.

Bo też kniaź Michał Gliński niepospolitą ta postać dziejowa; hoży w postaci, nieustraszonéj odwagi, biegły w sztuce wojennéj wysoko ukształcony, gdyby nie przesadzona duma i zarozumiałość, gdyby nie upór i pycha, stałby się chlubą kraju, jego zaszczytem a może i dobrodziejem, ale namiętności te owładnąwszy duszę Glińskiego, zrobiły go najprzód pospolitym zbrodniarzem, potem tułaczem, a wreszcie długoletnim więźniem, szamocącym się w cierpieniach duszy i ciała, aż do końca nędznego żywota. Michał Gliński z rodu kniaziów Siewierskich, dla nabrania ogłady i wiadomości, które zwiedzenie cudzych krajów nadaje, lat dwanascie przepędził ciągle we Włoszech, w Hiszpanji, lub w obozach Maksymiljana cesarza, odznaczając się nieustraszoną odwagą i niepospolitą w sztuce wojennéj biegłością. Piękny powierzchownością, przewyższający bardzo wielu, a może i wszystkich swych rodaków, nauką i wykształceniem, jak tylko za powrotem do ojczyzny pokazał się na dworze królewskim, wszystkich oczy i serca pociągnął ku sobie, a przedewszystkiem samego

monarchy. Być może że powodzenie to pierwsze wzbiło w pychę dumnego młodego magnata, że zarozumiałością i przekonaniem o swej niezaprzeczonéj moralnéj wyższości, jeżeli pociągnął ku sobie mniéj hardę umysły, u wyższych a już zasłużonych krajowi obudził wstrętne uczucie, które go jeszcze bardziéj na drogę moralnych zdobyczy i znaczenia w kraju popchnęły. Bądź co bądź powodzenie Glińskiego tak w narodzie jak u króla Aleksandra było wielkie, a bogactwem przewyższającem zwyczajne obywatelskie mienie, pokrewieństwem z ruskiemi książętami, zyskując sobie coraz więcéj stronników i znaczenia, wkrótce obudził podejrzenie tajemnych zamiarów oderwania Litwy, która już drżała przed jego władzą i przemożnością.

W owym czasie a było to w r. 1506 król Aleksander już po drugi raz paraliżem tknięty lżał po powrocie z Krakowa, śmiertelnie chory w komnatach Wileńskiego zamku, otoczony wyłączną opieką Glińskiego, nie dopuszczającą oprócz sług, żadnego do chorego króla obcych osób przystępu. Opieka ta jak również i lekarze wybierani przez samego Glińskiego, szczególną pomiędzy dostojnikami korony obudzała niechęć; podszeptywano też różne domysły o złych sposobach leczenia króla, a Jan Łaski kanclerz koronny późniéj Prymas, Wojciech Tabor biskup Wileński, Bonar Skarbnik i Zabrzeziński Marszałek Wielki Litewski, mówili głośno, że lekarze są szarlatani, a pan Michał Gliński ich przywódzca i wspólnik, mający widać własne powody czynienia tak a nie inaczéj, w brew zdaniu wszystkich doktorów i niechęci całego dworu.

Gliński oskarżany w podobny sposób tajemnie i jawnie, dumnem milczeniem pogardy odpowiadał na ciężkie zarzuty, a gdy zdrowie królewskie coraz się bardziéj pogorszało, podejrzenia zaczęły coraz większéj nabierać mocy, z czego wyradzały się liczne bójki pomiędzy szlachtą a służbą Marszałka Wielkiego, ile razy kto odważył się publicznie wystąpić przeciw panu Michałowi. I niesnaski te Bóg wie doczegoby doprowadziły, ale rozeszła się wieść o wtargnieniu hana tatarskiego z Perekopu, który aż po samą Lidę, niszcząc wszystko, postąpił. Stanisław Kiszka Wielki Hetman Litewski, z powodu choroby zdał dowództwo Glińskiemu, a król rozkazał wezwać całe rycerstwo, mając przytem zamiar skutkiem wzmagającéj się choroby, zdania rządów bratu swemu Zygmuntowi. To niepodobało się Glińskiemu, jako znającemu niechęć brata królewskiego ku sobie, podburzył więc rycerstwo, które wyraźnie oświadczyło, że jeżeli król nie stanie na jego czele, to ono nie wyruszy w pole przeciw nieprzyjacielowi. Nie było więc rady, i król w czasie burzliwéj nocy wyniesiony na noszach, wywieziony został do Lidy, a zamiar powierzenia rządów bratu, spełzł na niczem.

W krótce jednak skutkiem niepowodzeń wojennych, wywołanych głównie niezgodą i zawiścią dowódzców, król z Lidy powrócił do Wilna, a niechęć do Glińskiego wzrosła w dwójnasób. Dowodzono, że kniaź Michał bardzo opieszale postępował w ściąganiu wojska, że dumą swą niezwyczajną obraził całe rycerstwo koronne, że zaniedbał wszelkich środków obrony króla w Lidzie, i że wreszcie odjazdowi króla Aleksandra do Polski w celu porozumienia się z bratem Zygmuntem przeszkodził zuchwale oświadczeniem, że jeżeli król oddali się z Wielkiego księztwa, to on rozpuści zaciągi szlachty i zobaczy jak pójdą rzeczy z Tatarami. Dodawali przytem, że położenie rzeczy tak niebezpieczne, w jakiem się obecnie kraj znajduje, jedynie zawdzięczać należy Marszałkowi Nadwornemu, i że jeżeli książę Zygmunt wstrzymywany intrygami jego prędko nie przybędzie, to wszelkich następstw najnieszczęśliwszych można się było dla ojczyzny lękać.

O niczem też tak na dworze jak w mieście nie mówiono, jak tylko o środku ratunku, i gdy wszystkie usta prawie szemrały przeciw Glińskiemu, on tymczasem z całym zapałem przygotowywał się do walki. z licznemi zastępami Tatarów. Los ciągle jeszcze przychylny kniaziowi, jakby pragnął okryć go całym blaskiem sławy, aby uśmierzyć niechęć i przyciszyć zawistne szemrania, nie odmówił swej posługi dzielnemu temu wojownikowi.— Pod Kleckiem stoczona walka z Tatarami, rozproszyła ich i zmusiła do ucieczki aż na Perekop, i cały naród drżący przed chwilą z obawy napełniła nieopisaną radością. Orężna sława Glińskiego zajaśniała w całéj swéj pełni, wszystkie oczy i serca zwróciły się ku niemu, wszystkie usta ozwały się jednem słowem pochwały i uwielbienia.— To też wjazd zwycięzkiego kniazia do Wilna, podobny był do tryumfu wodza rzymskiego, otoczonego niezliczoną liczbą jeńców i łupami zdobytemi na nieprzyjacielu. Lud tłumnie zebrany cisnął się w około orszaku, i głośnemi okrzykami wysławiał Glińskiego, zapominając że przed chwilą prawie, podejrzewał go o najhaniebiejsze sprawy.

Chory król Aleksander przyjął zwycięzcę z oznakami największéj życzliwosci, co wszystko w taką wzbiło dumę Glińskiego, że z pychą i wzgardą prawie obchodząc się ze wszystkiemi dostojnikami korony, głowę podnosił coraz hardziéj i śmieléj więżąc niechętnych lub odsuwając

bezpowrotnie od boku królewskiego. Za jego to staraniem król biskupowi Wileńskiemu Wojciechowi Taborowi, odjął małą pieczęć, Jana z Zabrzegów uwolnił od obowiązków Wojewody Trockiego, a urząd ten oddał Glińskiemu, innych również poskładał z posiadanych dostojeństw, i co najważniejsza, że na przypadek przewidywanéj swéj śmierci mianował kniazia Administratorem księstwa litewskiego, aż do objęcia tronu przez brata Zygmunta. Tak więc Gliński znalazł się u szczytu swych marzeń i nadziei, rojąc plany godne pychy przyszłéj swéj wielkości. Ale czuwająca Opatrzność inaczéj rozporządziła.

(d. c. n.)

ZASADZKA

(Legenda).

Z głębokiego rozdołu,
Dwaj mołojcy pospołu,
W czarny bór się pomkneli;
Znać nie z roli, nie z soli
Ale z tego co boli
Chleb powszedni swój mieli.

Broń im błyszczy przy boku,
Ale mocniéj w ich oku,
Hart się duszy odbija;
Twarze w znojach pobladłe,
I bliznami obsiadłe
Wąs sumiasty obwija

Aż wtem jeden poczyna:
„Oj zła bracie godzina,
Coś tak ciąży na duszy!
Wicher liśćmi szeleszcze,
Jakby jakie złowieszcze
Kładł przestrogi nam w uszy!

Ogrodzony chmurami
Ledwo tylko czasami
Blado księżyc migoce,
A wciąż krążąc nad nami
Zdradliwemi skrzydłami,
Krzykla czajka trzepoce.

Zła to, zła to godzina,
Jest w tem jakaś przyczyna,
Niedaremne to znaki;
Czy za temi jarami
Czy za temi krzakami,
Nie kryją się hajdamaki?"

— „Wszystko, wszystko być może
Zwierz wszelaki jest w borze."
Odrzekł drugi ponuro—
A i myśl też wesoła
Niepodbieży do czoła,
Kiedy niebo pod chmurą.

Krzyż na czary jest djable,
Miło z wrogiem na szable
Po bratersku się zmierzyć,
Lecz jak oprzeć się zgrai,
Gdy jak wąż się gdzieś tai,
By znienacka uderzyć.

Więc opatrzmy rusznice,
Weźmy do rąk szablice,
Żeby łotrom się niedać;
A gdy siła przemożna
I podołać niemozna
Drogo życie swe sprzedać.

Opatrzyli rusznice,
Wzieli do rąk szablice,
I puścili się drogą,
Wiatr drzewami szamotał,
Blado księżyc migotał,
Czajka krzykła złowrogo....

Aż w tem jeden z mołojców,
Pomny wiary swych ojców
Znowu zagadł po chwili—
„Gdy tak w sercu coś trwożno,
Pieśń zanućmy pobożną;
Pieśń nas święta posili."

— Zgoda, zgoda, rzekł drugi,
Jeszcze borem szlak długi
I noc długa przed nami;
Pieśń do Boga Rodzicy,
Sen nam spędzi z źrenicy
Moc nas czarów nie zmami....

I jak rzekli, tak społem,
Krzyż zrobiwszy nad czołem,
Pieśń zawiedli w dwa głosy,
O przeczystéj dziewicy
Swiętéj Bogarodzicy,
Którą wielbią niebiosy!

Pieśń rozgłośną po lesie
Nurtem jarów wiatr niesie
Echo mdleje aż w chmurze,
Jakby ton jéj na przemian,
Od niebianów, od ziemian,
W całéj zabrzmiał naturze.

Zbójcy w krzakach ukryci
Krwi i złota niesyci,
Chociaż jeźdźców ujrzeli,
Duchem pieśni zwalczeni.
Padli na twarz zdumieni,
Myśląc że to anieli....

I szły konie po drodze
Nieujęte na wodze,
Aż las oto nadnieje
Daléj czysty step w koło,
I dzień Boży wesoło
Już na Niebie jaśnieje.

Oto koniec słuchacze!
Starą skazką was raczę
Z starą prawdą w odwodzie,
Że w modlitwie ochrona
I jedyna obrona
We wszelakiéj przygodzie.

Jan Prusinowski.

---

* * *

Pisma zagraniczne nie dawno doniosły, że w Marjenweder umarła Izraelitka, biedna żebraczka, przy któréj, po śmierci znaleziono sześć tysięcy talarów. Rozgniewana na syna za to, że jéj zupełnie nie wspierał, wydziedziczyła go, i pieniądze z wielkim żalem prawego sukcessora przeszły w cudze ręce. Przemysł więc nowym czynnikiem, dobroczynością, zaczyna się już posługiwać i zapewne z dobroduszności ludzkiéj nie zaniedba w ten sposób coraz lepiéj wyzyskiwać, skoro kłamanie nędzy, dla osłonięcia wstrętu do pracy czyli po prostu oszustwo nie tylko przez prawo nie jest karane, ale nawet nie ścigane przez policję.

W kwestji téj już po razy kilka głos zabierałem, ale głos mój wołającego na puszczy, prawdziwy groch na ścianę, przebrzmiewał bez śladu w obojętności ludzkiéj, jakby był wznoszony w przestrzeni bez granic i końca, pustéj, samotnéj niby w krainie lodów, w któréj nawet dla echa życia zabrakło. A jednak kwestja to niezmiernie ważna, bo tycząca się próżniactwa, które jest nie tylko plagą każdego społeczeństwa, ale jedynym powodem wszystkich jego wad, przestępstw i zbrodni.

W Anglji bieda tak jest poniewieraną i lekceważną, że niemal doznaje wzgardy, a przynajmniéj jeżeli biedzie prawdziwéj wszędzie źle na świecie, w Anglji z pewnością najgorzéj. Dobroczynność zaś jest tam tak szorstką i niemiłą, że wielu przekłada głód nad jéj dary, i woli nędzę znosić, jak coś przyjąć z ręki publicznego miłosierdzia.— Szorstkość ta bardzo zbliżona do pogańskiéj nielitości, sądzona z pozoru, niepochlebne wydaje świadectwo o moralnem usposobieniu Anglików: ale sąd to powierzchowny.

Anglik bowiem wie bardzo dobrze, że chleb daje praca, a téj każdy oddać się może. Posiadającągo więc chleb czyli byt, Anglik szanuje i poważa, bo powiada iż taki widać pracuje i do tego użytecznie, skoro go społeczność za pracę tę wynagradza.

I szacunek ten w miarę bogactwa Anglik powiększa, opierając się na téj zasadzie, że im większe mienie, tym większa praca, im więcéj społeczeństwo z pracy czyjéj korzysta, tym go lepiéj wynagradza, tym więc człowiek taki większego wart szacunku. Bieda zatem, powiada John Bull to owoc próżniactwa i niedbałości, to występek jak każdy inny, a im większa bieda, tym większe próżniactwo, tym więc więcéj godne wzgardy i lekceważenia. I dlatego to w Anglji dobroczynność tak jest szorstką, bo zaspokaja głód, jedynie dlatego żeby nie kąsał.

U nas, pojmujemy że Anglicy w téj teorji biedy mają prawie zupełną słuszność za sobą, ale przyjmujemy upadek moralny człowieka, i wspieramy biedę dla saméj biedy nawet dobrowolnie poślubioną, chociażby z niéj odrobinką chęci do pracy wydobyć się najzupełniéj mogła. Ztąd to pochodzą owe liczne zastępy, silnych, zdrowych bab i dziadów, niepokojących przechodniów po ulicach Warszawy, nadstawiających się dla obudzenia większéj litości, a wynajętemi dziećmi, choremi, płaczącemi, prawdziwemi męczennikami, nielitościwych swych opiekunów, i wciskającemi się wszędzie z prośbą a nawet zuchwalstwem o datek i jałmużnę. I w spekulacji téj dobrze się im wiedzie, trojaki sypią się obficie, próżniactwo wielmożnieje, a kraj narzeka na brak rąk pracujących, a żebractwo się mnoży ze szkodą i produkcji krajowéj i prawdziwie ubogich.

Gdybym posiadał wykazy statystyczne innych krajów, łatwo przyszłoby mi dowieść cyframi, że ilość żebraków w każdem społeczeństwie, jest w stosunku odwrotnym jego oświaty. Żebractwo bowiem czyli próżniactwo pozorujące się podartym łachmanem, jest prostą kradzieżą publicznego miłosierdzia, jest oszustwem a więc zbrodnią, jak każde inne przestępstwo, za które okuwają w kajdany i pakują pod klucz i rygiel. Im więc gdzie większe zastępy żebractwa, tam z pewnością ciemnota w całéj swéj pełni króluje, z ustępowaniem jéj przed oświatą batalјony żebraków umniejszają się, i dlatego na obszarach Azji podróżni napotykają miasta, których niemal cała ludność wyciąga rękę po datek i dla tego we Francji mniéj jest żebraniny jak u nas, a najmniéj w niektórych księz-

twach niemieckich. Wschodnie bowiem strony świata, to niemowlęta w cywilizacji ludów; u nas na 100 umie czytać tylko 15, we Francji 40, a wowych księztwach niemieckich, każdy już co najmniéj ukończył nauki w szkółce elementarnéj.— Ztąd w księztwach tych żebraka nie zobaczy, więzienia stoją pustkami, a sądy jednego roku, tylko jednę zaledwie sprawę kryminalną miały do osądzenia, bo gdzie więcéj szkół tam mniéj budynków na więzienia, wydatek zaś na szkoły podniesiony, sowicie wynagradza oszczędność na więzieniach.

I kiedyż ojczysta ziemio, przyjdziesz do tego błogiego stanu cywilizacji i umoralnienia? Nie prędko jeszcze podobno nie prędko, przynajmniéj nie prędzéj dopóki pragnienie ducha nie zrównoważy dotychczasową przewagę materji, dopóki mówiąc jaśniéj liczba księgarni nie wyrówna przynajmniéj liczbie jadalń i miejscom różnych napitków. Dziś stosunek ten niezmiernie smutny w jednem np. z miast naszych większych, znajduje się browarów 2. dystylarń 2. fabryka wody sodowéj 1. traktjerni 3. cukierni 4. handli win 11. a księgarnia tylko *jedna*. Tak więc dla brzucha i podniebienia oprócz szynków zwyczajnych, *dwadzieścia trzy* rozmaitéj nazwy zakładów, a dla duszy jeden zaledwie, czyli że moralne nasze jestestwo dwadzieścia trzy razy mniéj ma potrzeb i wymagań od ciała, co z prochu powstało i w proch się obróci. Nie wspominam tu nic o pięciu magazynach mód i o sześciu sklepach galanteryjnych.... ale za to sprowadzamy z zagranicy papier, pióra, atrament, zapałki, ćwieki drewniane, kapustę, kalafjory, owoce, mąkę, ledwo że nie chleb i kasze, słowem wszystko co zdobi, karmi i tuczy.

Kiedy czytać będziecie dzisiejszą pogadankę, uroczyste Swięta Zmartwychwstania Chrystusa znikną już w niepowrotnéj przeszłości. Na zakończenie więc przyjmijcie wierszyk p. Józefa Moroza z okoliczności świąt tych napisany, w którym autor z całem przejęciem religijnego uczucia, skreślił radość chrześcijańskiéj duszy, oderwanéj od ziemi, a zatopionéj w przyszłem życiu, w jakiem ofiarą Zbawiciela obmyci z grzechów żywota, staniemy wszyscy przed sądem Bożym.

CHRYSTUS ZMARTWYCHWSTAŁ!

Chrystus zmartwychwstał! Wszyscy dokoła
Oczyśćmy serca, rozjaśnijmy czoła!
A oczyszczone pokutą skronie
Wieńczmy Nadzieją, Wiarą, Miłością—
I połączywszy braterskie dłonie,
Cieszmy się bracia wielką radością!

Chrystus zmartwychwstał! On co dla ludzi
Umarł na krzyżu, z śmierci się budzi...
Powstawszy z grobu, On z wysokości
Mówi nam: „dzieci! ślę wam dziś radość!
Za wasze winy, za wasze złości,
Jam Bogu Ojcu uczynił zadość!"

Chrystus zmartwychwstał! Smutki i troski,
Złóżmy z pokorą przed ołtarz Boski!
Upokorzonym z ran Zbawiciela
Tryśnie rzeźwiące źródło pociechy—
A płynąc w serca strugą wesela,
Obmyje nasze winy i grzechy!

Cieszmy się bracia! Dziękczynne pienia
Wznośmy ku Bogu, Bogu zbawienia!
Wołajmy z skruchą, w serca pokorze:
Chwała Ci Panie na wysokości!
Chwała Ci Wielki, potężny Boże,
Boże Nadziei, Wiary, Miłości!

Ale jeszcze jedna wiadomość, dosyć ciekawa, któréj pominąć nie mogę. Otóż piszą z Krakowa że dnia 18 Marca o godzinie 2 po północy, w osadzie Podgórka Tyniecka, włościanin Józef Wywerka, obudziwszy się na psa szczekanie, ujrzał w izbie wielkie światło i cienie migające się po ścianach. Pragnąc dowiedzieć się, coby to wszystko znaczyć miało, wyszedł na pole, i z wielkiem zdziwieniem zobaczył niezliczone mnóstwo świateł, w postaci słupów płomiennych na chłopa wysokich, które ciągnęły széregami gościńcem od Tyńca, przez jezioro w Kole, przez Wisłę ku Bielanom, Pogorzałom i Krakowu. Zobaczywszy Wywerka tak niezwyczajne zjawisko, przestraszył się niewymownie i pobudziwszy sąsiadów, wszystkie swe sprzęty spakował, wywiózł potem z domu, a bydło zagnał do lasu. To samo i po innych domach zrobiono, a włościanie Grzegorz i Andrzej Tylka spisawszy całe to zdarzenie dodają wkońcu:

Widziało też ów pochód świateł wielu innych ludzi i poświadczą to pod sumieniem, bo wszyscy wielce byli przerażeni. Marjanna Tylko osiemdziesiątletnia kobieta rozchorowała się z przelęknienia, zjawisko zaś samo trwało od godziny 2 do 4 rano.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Biblioteka Warszawska—Luty — (dokończenie).

W Kronice paryzkiéj autor streściwszy komedją E. Augier Le Fils de Giboyer i Salammbo romans kartagiński, podaje szczegóły z życia Swifta autora

znanéj wszystkim podróży Guliwera. Żaden z synów Albjonu, powiada autor, więcéj nie budzi wstrętu jak Jonathan Swift; łączy on w sobie szaloną dumę, ponury egoizm, zaciętą nienawiść, palące szyderstwo, nietowarzyskość, słowem wszystkie grzechy główne swojéj ojczyzny. Nie ma jednéj sympatycznéj żyłki w tym księdzu mizantropie. Dzieła jego kłują lub straszą, jego żywot był jednem pasmem szkodliwego tyraństwa, przeplatanego napadami wścieklizny.

Do trzydziestego roku życia służąc jako sekretarz u lordów, traktowany był jak lokaj, ale pił cierpliwie upokorzenia. obiecując się pomścić sowicie. Z wolnością druku Swift za pomocą swych morderczych pamfletów, jak niewolnik otwierający sobie drogę sztyletem, wyzwolił się z poddaństwa. Swift stał się na raz potęgą: arystokracja, duchowieństwo, ministrowie, wszystko drżało przed piórem zadającem śmiertelne rany. Były sługa pański, odpłacił dumnym pogardą, powalił na ziemię i zdeptał jak robaka pychę magnacką, która dała mu się we znaki. Urodzony w Irlandji z rodziny angielskiéj przejął całą nienawiść przybranéj ojczyzny ku swojéj rasie. Irlandja znalazła w nim potężnego obrońcę, bo Swift miał i szlachetne namiętności, obłuda go oburzała.... ale niestety! tylko nienawidziéć umiał, kochać nie. Bez miłości adwokatował sprawę pognębionych. Pragnienie sprawiedliwości płynęło u niego z wiecznego rozdrażnienia nawet poświęcenie żółcią zaprawiał.

Tem mniéj był sympatyczny, że powierzchowność szpetna odpowiadała charakterowi. Od urodzenia poróżniony z Amorem, okazywał jawną wzgardę kobietom. Wybija ona aż nadto w liście do młodéj osoby idącéj za mąż, którego rozbestwienie moralne powinno było obudzić nienawiść w całéj płci pięknéj. Jednak stało się przeciwnie, Swift bowiem wzbudził dwie miłości szalone.

Przedtem jednak młoda piękna dziewczyna, miss Waryng, wzdychała naprzód do zaszczytu zostania jego żoną. Swift chcąc ją odstraszyć, skreślił jéj następujący program małżeństwa.

„Czy jesteś zdolną mościa panno, wyrzec się swoich skłonności a wziąć moje? Nie mieć innéj woli prócz mojéj? Żyć w zupełnem zaparciu się siebie? Zniesieszli cierpliwie mój gniew, często niesprawiedliwy i mój humor zawsze nieznośny? Z trzechset funt. szter. potrafiszli utrzymać dom na stopie dostatniéj? Potrafisz być aniołem rezygnacji, którego nie spodziewam się spotkać na tym świecie? Jeżeli tak jest zostań moją żoną.

Panna cofnęła się przed tym wizerunkiem przyszłego szczęścia, ale Swift nie pozbył się natarczywości płci piękuéj. Z miłośnego szału Estera Johnson została jego służącą, a miss Vanhomrigh zorzucała go miłośnemi listami: z Esterą Swift ożenił się, ale wkrótce obie te kobiety z zazdrości wzajemnéj umarły. Swift dręczony zgryzotą sumienia, pogrążony w ponurym smutku, utracił wzrok, pamięć, nareszcie dostał pomięszania zmysłów, i skończył, jak sam przepowiedział jak szczur otruty w norze.

Jako panflecista Swift jest niezrównany. Nigdy nikt z zimniejszą krwią i jadowiciéj nie kąsał. Bajron pragnął, żeby piękna połowa ludzkości miała tylko jedne usta, w któreby on mógł całować. — Swift pragnął żeby cała ludzkość miała jedną twarz w którąby on mógł plunąć. We wszystkich powieściach, myśli tylko jakby poniżyć człowieka.— Ciało jest wedle niego maszyną do podłych funkcji, dusza ogniskiem przywar i szaleństw, piękność złudzeniem; naukę uosabia w kuglarzu, oświatę w zgrai błaznów i łotrów, dowodząc że wszystko jest próżnoscią lub klęską, świat zaś domem warjatów.

Artykuł p. L. Kaplińskiego, Charakter sztuki u pierwiastkowych chrześcijan, jest ostatnim większym artykułem, zeszytu lutowego Bibljoteki Warszawskiéj. W pierwszym ustępie autor mówi o dwóch muzeach w Rzymie, w których zgromadzono wszystko, cokolwiek znalezionem zostało w katakumbach, sarkofagi, kamienie nagrobne, napisy, mozajki, freski i fac simile fresków. Wszystkie te pomniki i pamiątki datują z pierwszych wieków kościoła.

Kiedy duch ludzki w czasach młodzieńczéj wiary całkiem zwykł przestawać u Boga, istnością całą w Jego istności utopiony, nie ma żadnych dzieł istotną cechę sztuki na sobie noszących. Dlatego też najdawniejsze nagrobki chrześcijańskie, nie mają żadnych znaków ni rzeźby, tylko napisy zazwyczaj krótkie, niekiedy nie ortograficzne. a zawsze wzrnszające swoją prostotą. Imię Zbawiciela oznaczone najczęściéj przez dwie pierwsze litery, X. P.; jednocześnie pojawiają się na nagrobkach palmy, godło zwycięztwa męczenników, tutaj rybki przedstawiają dusze chrześcijańskie, wedle słów Zbawiciela do apostołów: zrobię was rybołówcami ludzi, i kotwicę, godło nadziei.

SZARADA.

Pierwsza wiecie, że jest rzeką,
Chociaż płynie ztąd daleko,
Na schowanie służy *drugi*
Obie razem nazwa ptaka,
Lecz ni wróbla, ni papugi,
Ni skowronka, ni też szpaka.

A. T.

(Znaczenie przeszłéj Szarady.—**Emerytura**).



Pomimo nadchodzących świąt, nie widziemy nigdzie nowych strojów; każdy nosi to co ma, oczekują na piękniejszą porę. Słowem ani suknie, ani

kapelusze, ani czepeczki, nie różnią się w niczem od tych jakie przez zimę noszono.

Suknie Gabrjele ciągle u nas używane, pochodzi to ztąd że najwięcéj dziś noszą wełnianych wyrobów, właściwych na ten rodzaj ubrania. Widzielismy w tych dniach trzy bardzo ładne w magazynie panien Kuhnke i opiszemy je tu szczegółowo.

Gabrjela czarna popelinowa w białe kresy miała przody złożone z dwóch klinów, rozdzielonych trzema białemi wypustkami, na których szły trzy rzędy wielkich czarnych jedwabnych guzików. Po bokach dane były okrągłe kieszoneczki, przybrane białą wypustką, i falbaneczką z czarnéj wstążki. Rękawy ścięte od łokcia, nie bardzo szerokie, miały u ręki mankiet, a u ramienia epolet, ozdobiony stosownje wypustką i falbaneczką.

Druga Gabrjela czarna popelinowa, garnirowana była od góry do dołu dwoma ruszami, z czarnéj materji, wystrzyganemi w ząbki. Rusze te rozszerzone u dołu. zwężone w pasie. rozchodziły się w górze do ramion; naszyte były płasko w pojedyncze fałdki i przedzielone w środku aksamitką na palec, środkiem sukni szedł rząd wielkich aksamitnych guzików. Rękawy z dwoma odwiniętemi klapami u ręki, przybrane były odpowiednią ruszą, równie jak i kieszenie.

Trzecia Gabrjela ciemno popielata, popelinowa, miała dół spódnicy zakończony czarną pliską, z białą wypusteczką w górze. Przez środek szły cztery rzędy czarnych guzików. Rękawy otwarte z mankietem wyłożonym w dwa zęby, przybrane były odpowiednio czarną pliską i wypustką białą. Takiż sam epolet spadał od ramienia.

Z innych sukien zwróciła uwagę naszą czarna lustrynowa, u dołu zakończona fałdowaną wstążeczką. Stanik gładki spięty na guziki, nagarnirowany był trzy razy wstążeczką; garnirunek ten odznaczał jakby pas szwajcarski, z zębem podniesionym w górę, tak z przodu stanika jak i na plecach. Rękawy fałdowane w górze, zwężone zupełnie u ręki, przybrane były dwoma klapkami, złożonemi z odwróconych od siebie falbaneczek.

Czapeczki zuawskie na głowę, nie wychodzą bynajmniéj z mody; z tą różnicą, że w miejsce sznelowych, robią je znowu z jedwabnéj siatki lub wązkich wstążeczek przeszywanych pacioreczkami z lawy. Wysoka rusza mantynowa, wystrzygana w ząbki i znacznie zwężona po bokach, stanowi zwyczajne ich ubranie. Zdobią je także wielką kokardą okrągłą, zwaną *chou* ułożoną z czarnéj mantynowéj wstążki. Uważaliśmy między innemi czarne bareżowe czapeczki, wygarnirowane w djadem czarnym podwójnym bareżem. Czapeczki te świeżo wygladają i do wełnianych sukien bardzo są właściwe.

Układ włosów niedawno tak rozmaity zaczyna się cokolwiek ujednostajniać. Najwięcéj widzieć można krótkich niobów, sięgających ledwie do skroni, podłożonych niewielkiemi tapirami. Na takie nioby trzeba włosy karbować, inaczéj nie pokryją dobrze tapirów. Przy dzisiejszych kapeluszach, mocno podniesionych nad czołem, taki układ włosów, wydaje nam się najwłaściwszy. Z tyłu głowy, włosy spadają zwykle, ułożone w wielkie pukle, albo w dwa koki pokryte delikatną siateczką.

Niedawno jeszcze słyszeliśmy powtarzane skargi, że rękawiczki warszawskie, słabe są i źle szyte, i że w żaden sposób nie można ich porównać z paryzkiemi. Kto jednakże widział rękawiczki z fabryki p. Kishauera pod teatrem, przekonał się łatwo o ile zarzut ten niewłaściwy. Uważaliśmy tam prześliczne rękawiczki, szyte podwójnie, z wybornéj skórki kozłowéj, ani nadto rozciągającéj sie, ani też zbyt twardéj i nieustępnej; para ich kosztuje złp. 8, ale w noszeniu, łatwo przekonać się można że nie są wcale przepłacone. W tymże składzie dostanie rękawiczek kozłowych na złp. 4 i pół niestębnowanych i zwyczajnych na 3 i pół. Wszystkie odznaczają się zręcznym kształtem, starannem odrobieniem. Zalecamy też wyrabiane tam kaftaniki i pasy łosiowe, nadzwyczaj ciepłe i wyborne do podróży.

Nowości Zagraniczne.

Le moniteur de la mode. Do najmodniejszych w tym roku wyrobów należą: mantyna, fular i popelina tak Irlandzka jak i Lyońska, i bareż angielski. Noszą także bardzo materje czarne broszowane w drobną szachownicę, lub w małe medaljony. Fular popielaty w czarne półksiężyce, zwany *Lalla Rouck* należy do najmodniejszych. Suknie takie przybierają ruszą czarną.

Krawatki białe muszlinowe, obszywane koronką, będą miały powodzenie i w tym roku. Zalecamy je zwłaszcza na wiosnę, gdyż zabezpieczają szyję od zimna, i każdemu przypadają do twarzy.

Petit courrier des dames. Noszą powszechnie wielkie peleryny czyli Talmy z tego samego materjału jak suknia. Moda ta będzie miała w tym roku powodzenie. Paletoty nie wyjdą także z użycia. Suknia z takąż samą Talmą z kamlotu angielskiego, fularu lub popeliny, bardzo właściwa do wyjścia na rano. Okrywki te sięgają z przodu

do kolan, z tyłu powinny być cokolwiek przedłużone.

Magasin des demoiselles. W kapeluszach dają się spostrzegać niejakie zmiany. Rondo mniéj bywa podniesione w górę, a zachodzi więcéj naprzód tworząc ząb *à la Marie Stuart.* Ząb ten przysłonięty bywa małym fanszonikiem, z blondyny lub koronki. Kapelusze krepowe popielate należą dziś do najmodniejszych.

Spódniczki zwane *wiosenne* robią z rozmaitych tkanin wełnianych w podłużne paski czarne z białym. U dołu zdobią je dwoma lub trzema czarnemi fałdowanemi falbankami lub naszywają czarną aksamitką. Noszą także białe spódniczki, z falbankami, wyszywanemi czarnym sutaszem. Jako nowość ukazały się spódnice, obszyte u dołu pasem ze skóry.

Białe perkalowe lub żaknotowe spódniczki zdobią na rozmaity sposób. U jednych widzimy haft nad obrębem, u innych wszywki haftowane lub z walansienki, pomiędzy drobnemi zakładkami. Wiele się robią z nadpowietrznym wolantem.

W rękawkach zupełna zaszła zmiana, zarzucono zupełnie wielkie buffy w kształcie balonów, a przyjęto formę płaską, ściętą od łokcia a otwartą u ręki, nierównie odpowiedniejszą formie dzisiejszych rękawów u sukien. Rękawki muszlinowe przybierają u ręki wszywkami i walansienką. Najwięcéj używane są rękawki z mankietem szerokim webowym, spiętym na sześć guzików. Do nowości teraźniejszych należą kołnierzyczki płócienne, obszyte wązką walansienką, z odpowiedniemi rękawkami.

Le bon ton. Tegoroczne kapelusze i kapotki, mają po większéj części główki buffowane, na tył opuszczone. Do najładniejszych jakieśmy widzieli należy kapelusz ryżowy, z białą krepową główką, przysłoniętą czarnym koronkowym fanszonikiem, z jedwabną frendzlą. Brzeg ronda zdobiła girlanda z liści koronkowych czarnych. Djadem składał się z bzu białego z czarnym.

Staniki do sukien złożone z kaftaniczka Greckiego i kamizeleczki; należą do najmodniejszych. Do wełnianych sukien robią powszechnie okrągłe peleryny zwane Talmy albo rotondy.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia czarna lustrynowa w gwiazdki, przybrana u dołu gwiazdkami z czarnéj materji garnirowanemi fałdowaną falbanką. Stanik gładki zapięty na guziki. Rękawy szerokie i otwarte prawie do pachy; drugie wązkie także z lustryny. Kapelusz rypsowy jedwabny. Kołnierzyk i mankiety webowe.

Figura 2. Suknia czarna rypsowa, zupełnie gładka. Paltot syberynowy, obszyty czarnym futerkiem. Rękawek skonksowy. Kapotka czarna jedwabna marszczona, ubrana aksamitem.

Ubranie panienki. Suknia czarna rypsowa. Paltot sukienny obszyty u dołu plisami skośnemi z czarnéj mantyny. Szarfa jedwabna ułożona z przodu w niewielkie fałdy przechodzi przez ramiona i spada na plecach obszyta szeroką frendzlą. Kapelusz okrągły aksamitny, ubrany pękiem czarnych piór strusich.

DONIESIENIA.

PIGUŁKI Z ROŚLIN PANA CAUVIN

Służą do czyszczenia krwi i pomagają do trawienia pokarmów. Wzmacniają kiszki i trzewia, leczą niestrawność, zamulenia żołądkowe nie osłabiając żadnego z organów ciała. Przy użyciu nie wymagają ani dyjety, ani osobnego napoju. Można je nabyć w Redakcji Tygodnika Mód po złp. 4 za pudełko, z przepisem użycia ich w pięciu językach.

W Redakcji Tygodnika Mód można nabyć:

—*Książkę do nabożeństwa dla wieśniaków*, ułożoną przez Janka z Bielca, z dwoma rycinami, w oprawie mocnéj ozdobnéj, za złp. 2 gr. 15; kupującym egzemplarzy 10, przesyłka nastąpi kosztem Redakcji.

—*Modlitwę poranną* Janka z Bielca, po zniżonéj cenie, egzemplarz za gr. 10.

—*Obrazek Matki Boskiéj Częstochowskiéj*, sztuka gr. 3,

—*Alfabet duży i mały* do uczenia liter, arkusz gr. 3.

Kupującym za złp. 10 ostatnich trzech wydawnictw, Redakcja takowe kosztem swoim prześle.

KORRESPONDENCJA.

Panu Jul. Chmiel. w Kamieńcu Podolskim, odebraliśmy tylko na preumeratę Tygodnika złp. 50, żadnych innych pieniędzy na sprawunki nieotrzymano.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka z modami.

W Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Nr. 14.

Dodatek do Nru 14 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 4 Kwietnia 1863 roku.

23 Marca.

MROWIN I TROCK.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

CZĘŚĆ I.

Fit retribution.

Lord Byron.

(Dalszy ciąg).

Gdy o dwunastéj schodziły na śniadanie, Klocia zaczęła znowu:

— Gdyby nie pan Stanisław, toby mama nie jechała na te imieniny.

— Czy nie chciałabyś, ażeby pojechała?

— Zapewne.... Taka szlachta.... Zostaniemy same tylko.

— Zejdzie nam czas dobrze, zobaczysz: i nie miéj żalu do państwa Zdarnowskich — ujęła Anna rączkę dziewczęcia.

— Och nie, do nich! — i ruszyła ramionami.

Z notatek Anny.

11 września.

„ Dziś panie i panowie pojechali do Sioła na obchód imienin pani Zdarnowskiéj.

Panna Klementyna wyglądała prześlicznie.

Kloci było markotno, że została w domu— i potrzeba ją było rozrywać.

Chodząc z nią po ogrodzie, wynalazłam miejsce zkąd najlepiéj będzie odrysować pałac — a pragnę zdjąć ten widok dla mamy. Jest-to mały wzgórek, niezbyt oddalony, pałac ztamtąd przedstawia się nader korzystnie, a widać i staw, i kościołek w oddali. Wzięłam się zaraz do rzucenia pierwszego zarysu, co wielce zajęło i ucieszyło Klocię.

Nastkę dziś zaniedbałam, bom z Klocią bez pozwolenia pani Rożniszewskiéj tak daleko pójść nie chciała.

Przeczytaliśmy głośno jedną powiastkę w *Rozrywkach.* Grałam i śpiewałam dziewczątku, co tylko zapomyślała.

Na herbatę przyszedł do nas pan Zegier i różne opowiadał dykteryjki.

O dziesiątéj uśpiłam Klocię i powróciłam do siebie.

Cichutko w około. Księżyc przez okno zagląda całym blaskiem swoim — że aż różne snują się myśli.

Ogród cały w fantastycznych rysuje się kształtach. Drzewa i krzewy w dziwaczne łamią się postacie, tworząc obszerne dla bujnéj wyobraźni pole. Zapuszczam story — bo nie chcę za nadto rozkołysać i tak już za bujnéj niekiedy fantazji.

Och, gdyby też co rychléj święta Bożego Narodzenia nadeszły!.... Tém życzeniem gorącém fantazja moja zawsze spotęgowana najwyżéj. Pani Rożniszewska nic nie ma przeciwko temu, że do mamy pojadę. Aż mi serce skacze! Dobra Klocia była pośredniczką.

Mateczko! Babuniu! Julko! Dobra noc!”

Gdy Anna nazajutrz z Klocią na zwykłą zeszła przechadzkę, zaczęła mała:

— Dużo wczoraj było gości w Siole: sześćdziesiąt przeszło osób. Była nawet pani jenerałowa z panią Wojniłłową, nad czem Tynia i mama dziwiły się bardzo. Ale też odjechały rychło.

— Bo pani jenerałowa zapewne potrzebuje wywczasu.

— Och, to tylko, tak dla ceremonii przyjechały, aby też! — i kiwnęła główką. — Obiad był wcale nieosobliwy i niesmaczny: muszą mieć złego kucharza. A wszystkiego było tak wiele, że aż strach! Tak po szlachecku.

— Może liczyli na więcéj gości.

— Ej, to tak; jedźcie! i pijcie! A galeraty były brzydkie i lody jak polewka — i roześmiała się.

— To nie uda się czasem, gdy wielka krzątanina jest w domu.

Klocia poczęła opisywać różne stroje, wystawiając wszystko w najniekorzystniejszém świetle. Anna przerywała jéj ciągle to uwagą jakąś, to zwracając mowę do zupełnie innych przedmiotów — nie chcąc słuchać tych ploteczek, ale dziewczynka zaraz znowu wracała do tego, co ją zajmowało wyłącznie.

— Tańczono téż w Siole, pewnie aż do rana. Mama odjechała z Tynią o dwunastéj, a gdy panowie wrócili, to już dniało. Nawet i pan Stanisław tańczył: z Tynią kontredansa, a z panną Antoniną mazura. Ależ ta panna Antonina .....

— Patrz, dziecko, — przerwała jéj znowu Anna — patrz, jak dziwaczne kształty tworzą te obłoki! Tam niby jaki rzymski zwycięzca jedzie na rydwanie, w hełmie, z podniesioną w górę ręką, a tuż naprzeciw niemu dwa niedźwiedzie na tylne spinają się łapy.

— Tak, tak! — klasnęło dziewczątko w dłonie — a tam, ta mała chmurka czarna, to jakby małpka..... Ach, ależ muzyka była licha w Siole! — zawołała zaraz znowu — Żydzi grali z miasteczka — i ruszyła ramionami wzgardliwie.

— Czasem żydzi bardzo dobrze grają, zwłaszcza téż do tańca. Ale, chodźmy już, dziecko, bo czas do fortepianu: mamy do objadu już niedaleko.

Anna umyślnie skróciła przechadzkę, ażeby przeciąć wątek powyższéj gawędki dziewczęcia.

Wieczorem zapisała Anna w *Notatkach* swoich.

12 września.

„Jestem niekiedy w nader przykrém położeniu, gdy mi Klocia powtarza czynione przez matkę i siostrę niekorzystne o różnych osobach uwagi. Nie mogę jéj wyraźnie przyganić, że to są ploteczki i obmowa — bo potępiłabym tamte w jéj oczach, a to byłoby z méj strony rzeczą wielce naganną. Wtrącam tylko uwagi swoje o ile potrafię, przerywam jéj gadanie, inne chwytając przedmioty, ale to nie na wiele się przyda i złego nie wykorzeni. Zresztą Klocia dobrém jest dzieckiem i dałaby się pouczyć — gdybym tylko mogła, jak pragnę!

Dziś zrana dużo rysowałam nad moim obrazkiem — myślę że mi się uda. Światło było bardzo korzystne — i uważam, że ranna pora najlepsza ku temu.

Po obiedzie dużo chodziłam. Nastka odprowadziła mnie przez lasek. Uczę ją sposobem pogadanki — historyi swiętéj. A z jakiemże słucha mnie zajęciem — i pamięć ma doskonałą.

Za powrotem napisałam list do kochanéj mateczki. Jakoś mi ciężko — niby smutno — lubo że przykre wrażenie, jakie na mnie sprawiła wiadomość, że Mrowin jest własnością pana Rożniszewskiego, już niemal całkiem starałam się stłumić. Wszystko to za jedno, kto tam dzisiaj dziedzicem.... Ależ nie!... nie jedno! Wcale nie jedno! mnie wstyd za siebie przed sobą samą za te wyrazy. Daj Boże by dziedzic Mrowina był dobrym i zacnym człowiekiem: ażeby ten lud poczciwy pod prawym i sprawiedliwym zostawał panem! — Myślę, że pan Alfons będzie dla nich dobrym — oby Bóg litośny go natchnął!

Rzecz dziwna i śmieszna, że pan Łasiński szczególniéj w obecności Klementyny niegrzecznym jest dla mnie — traktującym *jakoś* z góry — jakby człowiek bardzo źle wychowany — albo nienawykły wcale do lepszego towarzystwa. Gdy spotkamy się nie w jéj obecności, i gdy pani Rożniszewskiéj także niemasz w salonie, to wtedy jest względniejszym. Miarkuję, że tém chce się przypochlebić.... — och, jacyż-to ludzie są mali!

Przyjechali goście i zawezwano mnie do salonu — a radabym była dłużéj sama z sobą pozostała.”

Po dniach kilku oczekiwany z Warszawy budowniczy przybył — i Alfons miał nazajutrz, pospołu z nim, do Mrowina wyjechać. Pan Stanisław, zawezwany przez umyślnego, przybył na obiad i pozostał się na noc. Panom zeszło parę godzin na przeglądzie różnych planów i odrysów. Wieczorem zeszli się wszyscy w salonie.

Alfons prawie nie odstępował Anny: gdy chodziła po tarasie, trzymając Klocię za rękę, ciągle był przy niéj, gdy usiadła przy stole, zajął miejsce obok — a ciągle coś jéj prawił; wsparł ręką głowę, pochylał się ku niéj i wpółcichą usiłował zawiązać gawędkę. To jego niewłaściwe postępowanie mięszało i dręczyło ją wielce, — więc i zaraz znowu powstała, zatrudniła się Klocią—a gdy i Alfons tóż samo czynił, rychło do swojego udała się pokoju.

Nazajutrz ranek znowu był śliczny, słoneczny— i Anna ze swoim szkicem pospieszyła na wzgórek.

W tym czasie w pokoju Alfonsa — właśnie ku

téj położonym stronie — dostrzegł ją Stanisław i przy oknie usiadł.

Alfons, coś tam rozmawiając, także przystąpił — wyjrzał na ogród — poznał na wgórzu czarną okrywkę i okrągły słomkowy kapelusz.

— A! — zawołał pomimowolnie — pochwycił szybko swoją garybaldówkę i wybiegł.

Gdyby w téj chwili był kto zważał na twarz Stanisława, byłby w niéj dojrzał spochmurzenie widoczne, a nawet i niepokój.

Anna, rysując, spojrzała się na pałac, spostrzegła jasno-popielatą *bonżurkę*, zmierzającą szybko — zebrała pospiesznie rysunkowe przybory i zbiegła w polocie drugą stroną ze wzgórza, przemknęła pomiędzy klombami, i właśnie dochodziła tarasu, gdy Alfons na opuszczone przez nią dotarł miejsce.

Stanisław widział to wszystko z okna — rozjaśniło się od razu oblicze jego, a uśmiech usta okolił.

Alfons niebawem powrócił, był podrażniony i kwaśny, lecz Stanisław żadnéj nie poczynił uwagi: udał jakoby nic nie był widział, i o czemś wcale innném mówić począł — a był w szczególniéj dobrym humorze.

Anna w południe, jak zwykle, zeszła z Klocią na drugie śniadanie. Jeszcze było nieco zawcześnie, i dziewczątko prosiło, by poszły do letniego salonu. Lecz zaledwie tam weszły, Klocia ją odbiegła, a natomiast ukazał się krokiem przyspieszonym, pan Alfons. Anna wszelako spostrzegła go dość wcześnie, a unikając bycia z nim sam na sam, jednym skokiem już była na kręconych wschodach — przebiegła *platformę* — i bez tchu niemal w swoim stanęła pokoju.

Nadchodzący za Alfonsem Stanisław, dojrzał jeszcze obręb jéj czarnéj sukienki.

— Och! — zawołał pierwszy z niechęcią — twojém nadejściem spłoszyłeś mi ptaszka: miałem ją pożegnać.

Stanisław spochmurzał nagle, zaiskrzyło mu w oku, chciał coś wyrzec, lecz w téjże chwili, otworzono drzwi od salonu: lokaj do śniadania poprosił.

W godzinę potém zaszedł opakawany powóz Alfonsa — i nastąpiło pożegnanie.

— A nie siedź tam zbyt długo! — napominała matka, lubiąca patrzeć się na jedynaka.

— Powracaj, bo nam będziesz brakował! — dodała siostra.

— Powinien mnie Staś zastąpić, jako pupil ojca i grzeczny sąsiad — odrzekł odjeżdżający. — Wkładam ten obowiązek na ciebie — i podał rękę przyjacielowi — zwłaszcza też, że i papki w domu nie masz, i pan Łasiński *absentował* się na dni parę.

Stanisław skłonił się w milczeniu.

— Łaskawéj, względnéj polecam się pamięci — wymówił Alfons do Anny, nieco stłumionym głosem, z wejrzeniem znaczącém namiętném, że aż spłonęła — pokłonił się i wybiegł z *efektem*.

Nazajutrz Anna udała się na zwykłą przechadzkę do lasu. Zastała czekającą Nastkę; która z radością ku niéj poskoczyła.

— Paniunio jedyna! — zawołała — a wyglądałam-ci dzisiaj, że aż mnie oczy bolą.... Oj, matuś kupili mi na *gorset* — i rozwinęła łokieć pąsowego tybetu — a poproszę serdeczną paniunię — i uścisnęła jéj kolana.

— Abym przykroiła ci sznurówkę — uśmiechnęła się Anna.

— A toć! — i dziewczyna ucieszona pocałowała ją w rękę.

Usiadły po nad rzeczką. Anna skroiła i zfastrzygowała sznurówkę — a Nastka się uczyła.

Przymierzony *gorset* doskonale przypadał do zręcznego stanika dziewczęcia. Anna obiecała jéj aksamitkę do oszycia go, poczyniła jeszcze niektóre pouczające ją uwagi — a potém zwolna ku domowi wracała. Jeszcze nie była dobiegła drożyny, przerzynającéj lasek, gdy za sobą lekki posłyszała stukot podkowy — obejrzała się i ze szczególném pomięszaniem poznała w zbliżającym się jezdcu, pana Stanisława Wojarowskiego. Poczuła nagły rumieniec na licu — a potém jak krew cała spłynęła jéj do serca i wiedziała, że zbladła.

Pan Stanisław nadjechał.

— Najniższy sługa! — zawołał i z konia zeskoczył. A miał na sobie przewieszoną torbę myśliwską.

— Dobry wieczór — odrzekła Anna, usiłująca pokryć swoje pomięszanie.

— Wybacz pani, że natrętnie przerywam samotną a pewnie i przyjemną przechadzkę — wymówił, idąc zwolna obok i prowadząc konia, bo Anna nie zatrzymała się wcale — ile, że to czynię rozmyślnie — dodał z uśmiechem. — Posłyszałem, że pani wracasz sama, pod lasem spotkałem jakiegoś włóczęgę, i puściłem się tą drogą, by panią od jakiego nieprzyjemnego zasłonić wypadku: tacy ichmoście bywają niekiedy zuchwali. Pani pozwolisz, to potowarzyszę przez las, potém pani pójdziesz bezpiecznie już przez ogród, a ja nawrócę i wkoło przez wieś się puszczę, bo wiozę

dla panny Klementyny *Podróż do Grecji* Edwarda Raczyńskiego, jak mi to przykazała wczoraj.— Czy pani pozwolisz towarzyszyć sobie? — zapytał raz wtóry, gdy Anna milczała.

— Pan jesteś tyle łaskaw — poszepnęła młoda dziewczyna nieśmiało.

— Ale mi pani tego za *zbyt wielkie* nie poczytasz natręctwo? — i przystanął.

— Och, nie .... — wybiegło z ust jéj, a sama nie wiedziała, co z tym miała *począć fantem*? niepokoiła ją obecność jego, a nie chciała ściągnąć na siebie zarzutu jakiejś fałszywéj skromności, *pruderji*.

— Wdzięcznym pani za to słówko! — i zwolna znowu szli daléj, lubo że Anna byłaby wolała iść spieszniéj. — Pozwól sobie pani także powtórzył przestrogę — ciągnął Stanisław daléj — byś mniéj odważną była i na tak odległą przechadzkę naprawdę nie puszczała się sama.

Annę wszelako nie nastraszyło tak bardzo owo mniemane niebezpieczeństwo, a zajęła ją szczególniéj myśl: zkąd pan Stanisław wiedział, że ona właśnie jest w lasku? — Pragnęła zapytać go o to, ale nie wiedziała jak? — gdy niebawem sam o tém zaczął.

— Czy nie domyślasz się pani od kogo wiedziałem o téj samotnéj przechadzce.

— Nie, bynajmniéj!

— Od Nastki.

— A! — zdziwiła się.

— Potrzeba pani wiedzieć, że to jest dawna znajomość moja: zatrzymuję się czasem przed domem gajowego, gdy mi zgaśnie cygaro. Dziś niemałom się zdziwił, widząc Nastkę nadchodzącą z książką w ręku. — „Zkądżeż to idziesz?— zapytałem — „czy z kościoła?” — „Ej gdzie tam, z przeproszeniem” — odrzekła — „to, oj z nauki” — „Nie przepraszaj, bo nie gniewam się. Ale z jakiejże to nauki?” — Oj, ta dobra pani, co to jest guwernantką w pałacu, uczy mnie czytać i rożnośc, niech jéj Bóg dobry zapłaci i Matka Najświętsza; — „I ty chodzisz do pałacu?”— „Oj, nie, paniunia przychodzi do lasu nad rzeczkę” — I oto wydało się wszystko. O ile mnie to zajęło .... nie powtórzę pani. Z Nastki masz pani bardzo przywiązaną i wdzięczną uczennicę.

— Dobre, poczciwe dziewczę — poszepnęła Anna.

Rozmowa urwała się chwilowe nastąpiło milczenie.

— Panie w Trocku zdrowe? — zaczął znowu Stanisław.

— Zdrowe zupełnie.

— Pan Łasiński jeszcze nie wrócił?

— Nie.

— Pan Alfons .... myślę, że niezadługo powróci — i Stanisław patrzał się na nią, że aż poczuła to badawcze spojrzenie. — Nie zechce tam posiedzieć .... zatęskni .... i odstraszy go pustka.

— Ależ to nie pustka wcale! — zawołała Anna, nie mogąca słów tych powstrzymać ku obronie ukochanego Mrowina.

— Jakto?

— Dwór dość duży, wygodny, miejsce ładne....

— Pani znasz Mrowin?

Annie tchu niby zabrakło, zapomniała się— i dopiero po chwili odrzec zdołała:

— Rodziłam się w Mrowinie, a pożegnałam go dopiero w lipcu.

— W Mrowinie?! — zawołał Stanisław — Mrowin był własnością rodziców pani?

— Posagiem babki mojéj.

— I musiał być sprzedany?

— Jest-to bardzo smutna historya — odpowiedziała Anna stłumionym głosem, ciężkie zwalczając westchnienie.

Stanisław zapytywał znowu — zapytywał z zajęciem — i po kilku chwilach wiedział wszystko: przemilczenie o téj bolesnéj okoliczności byłoby nad siły młodéj dziewczyny.

— I to jest sprawka pana mecenasa Gębskiego? — zapytał znowu z mrocznym wyrazem twarzy i jakiemś dziwnem odbrzmieniem w głosie.

— Pan Gębski trudnił się interesami naszemi.

— I jakiś pan Warnik nabył Mrowina licytacyi?

— Tak jest.

— Hm! .... Stanisław zamyślił się.

— A pan Rożniszewski?

— Nie wiem ..... Dowiedziałam się dopiero z rozmowy proboszcza z panem Alfonsem, że pan Rożniszewski jest teraz dziedzicem Mrowina.

— I dla tego pani zbladłaś wtedy! — zawołał ożywiony nagle. — Czy panie w Trocku wiedzą o ile panią Mrowin interesuje?

— Nie, wcale nie. Nie wiem jak zacząć o tém, co powiedzieć .... To mnie ambarasuje i wielką sprawia przykrość.

— Bardzo pojmuję.

(d. c. n.)